

Co wolno Durczokowi, a co motłochowi

12 sierpnia 2019

Zapewne znacie Jana Hartmana. To publicysta, który zawsze wali prosto z mostu. Kiedy inni dzielą włos na czworo, on mówi wprost: cham to cham, motłoch to motłoch, debil to debil. Koniec kropka. Niczym Friedrich Nietzsche wali swoim krytycznym młotem w polskie społeczeństwo. Kto go za to krytykuje, ten albo nie rozumie, albo został omotany poprawnością polityczną.



I oto nagle Hartman znalazł w swoim publicystycznym sercu niespotykane pokłady czułości. Postanowił stanąć w obronie Kamila Durczoka, który spowodował wypadek, prowadząc auto po pijanemu. To wszystko nie jest takie proste, przekonywał Hartman. „Może jego problemy to nie całkiem jego wina?” – pytał na Twitterze. Potem rozwinął ten wątek na swoim blogu.

To zastanawiające, że gdy Harman pisze o „motłochu”, to nie interesują go żadne próby skomplikowania obrazu grupy społecznej, którą nazywa w ten sposób. Motłoch jest motłochem, o czym tu mówić? I tak kilka milionów osób zostaje wrzuconych do jednego worka i sprowadzonych do kilku prostych cech. Ale nie Durczok, ten jest postacią tak złożoną, jakby wyszedł spod pióra Tołstoja albo Nabokova. Jego pijaństwo nie jest po prostu pijaństwem, ale przejawem czegoś głębszego. To, że mógł rozjechać niewinnych ludzi, nie może przekreślić tego, jak wielowymiarowy jest kontekst decyzji i zachowań Durczoka.

Trudno nie zauważyć, że Hartman ma dwie miary – jedną dla ludzi takich jak Durczok, drugą dla „chamów”, „prostaków” czy „ludu”. To niestety cecha charakterystyczna polskiej debaty publicznej. Wystarczy spojrzeć, jak pisze się i mówi u nas o

mieszkańcach wsi. Traktuje się ich jak jednolitą masę, która odznacza się bardzo prostym zestawem cech. Czasem prowadzi to do naiwnego idealizowania wiejskości, ale w większości przypadków jest na odwrót – wieś i jej mieszkańcy stają się nosicielami wszystkiego, co najgorsze w naszym społeczeństwie.

Uderza mnie to, bo sam wychowałem się na wsi. Większość mojej rodziny też pochodzi ze wsi i mieszka tam. Nigdy nie przywiązywałem do tego większej wagi, ale od kilku lat coraz mocniej uderza mnie to, że jawna pogarda dla wiejskości jest stałym i istotnym składnikiem tożsamości części polskiego środowiska inteligencko-medialnego. I dzieje się to ponad podziałami politycznymi.

Klasycznym przykładem jest książka Piotra Nowaka, prawicowego profesora związanego z czasopismem „Kronos”, zatytułowana „Hodowanie troglodytów”. Nowak pisze w niej wprost, że ludem się „brzydzi”, a mówiąc dokładniej, brzydzi się jego „ciemnotą, brudem, nieludzką symbiozą z przyrodą”. Książka Nowaka wzbudziła swego czasu zachwyt u części środowiska akademickiego, bo autor tak ładnie bronił etosu inteligenckiego, a że przy okazji sięgał po klasyczne chwytły rasistowskiego języka (odczłowieczanie całych grup społecznych), no to nie bądźmy już tacy wrażliwi. W końcu nie pisał o Durczoku.

Tę pogardę znajdziemy także z łatwością po stronie liberalnej. Klasykiem jest nie kto inny jak Hartman we własnej osobie, który w felietonie dla „Polityki” ogłosił wszem i wobec, że z potomków chłopów i robotników nie będzie czytelników Żeromskiego ani nawet Masłowskiej, bo inteligenckość się dziedziczy. Kilka miesięcy temu Janusz Majcherek pisał w „Gazecie Wyborczej”, że wszystkie nieszczęścia, które spotykają Polskę, wypełzają ze współczesnej polskiej wsi. W ten sam trend wpisał się Przemysław Szubartowicz, pisząc na Twitterze: „Dziś prowadziłem spotkanie z Jerzym Stępnem, który zwrócił uwagę na zapomniany fakt. Otóż PiS przy władzy to w dużej mierze efekt kompleksu chłopa pańszczyźnianego.

Dziś to niewolnik, któremu wystarczy 500+ od pana (»pana« Kaczyńskiego) i który ucieka od wolności, bo za trudna”. Maria Halamska w wywiadzie dla „Kultury Liberalnej” przekonywała zaś, że „w całej klasie ludowej” możemy dostrzec postawy roszczeniowe.

Polskiej wsi z pewnością daleko do ideału, ale przecież Hartmanowi, Majcherkowi czy Nowakowi nie chodzi o to, jaka naprawdę jest wieś, lecz o przeżywanie intelektualnych orgazmów, które zapewnia prosty podział: „my, elity duchowo-inteligenckie” kontra „niewykształceni, głupi motłoch”. Lud, chłop, robotnik, wiejskość ogrywają rolę symboli zacofania, na tle których polscy arystokraci ducha mogą zachwycać się własną postępowością.

Łatwo przy tym zapomnieć, że to nie chłop wykrzykiwał ostatnio bzdury o tęczowej zarazie, lecz poznaniak, profesor nauk teologicznych z Uniwersytetu Adama Mickiewicza. To nie prostak ze wsi wystraszył się kilka miesięcy temu kobiety z bananem, lecz profesor socjologii, który ukończył Uniwersytet Warszawski. To nie potomek chłopów, ale szlachty (i przy okazji następny absolwent Uniwersytetu Warszawskiego) od lat tworzy różne partie, które spaja pogarda dla kobiet i wszelakiego rodzaju mniejszości, a także zabobonna wiara w wolny rynek. To nie członek prostego ludu pracował nad instytucjonalnym odrodzeniem się ruchów nacjonalistycznych w Polsce, lecz student kilku kierunków we Wrocławiu, Warszawie i Toruniu, uczestnik „Tańca z gwiazdami”. Jego protektorem był absolwent Uniwersytetu Adama Mickiewicza i wzięty prawnik z rodzinny profesorskiej. Jarosław Kaczyński – jeśli to on jest dla was symbolem zła – też nie pochodzi z małej chłopskiej chatki, lecz z Żoliborza.

Więc na miejscu Polski postępowej, wysublimowanej oraz inteligenckiej dałbym sobie na wstrzymanie i przestałbym się brandzłować przekonaniem o własnej wyższości duchowej. Nie ma nic wyrafinowanego w posługiwaniu się klasistowskimi przesadami. Skoro niektórzy zwolennicy postępu i oświecenia

potrafią dojrzyć złożoność człowieka nawet na przykładzie znanego dziennikarza rozbijającego się po pijaku samochodem, to może warto dojrzyć równą złożoność postaw, motywacji i okoliczności w „motłochu”?

Autorstwo: dr Tomasz Markiewka

Źródło: NowyObywatel.pl